Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. No. 8. Leszno, dnia 19. Sierpnia 1843.

Ostróg.

Miasto i zamek na Wołyniu, stolica niegdyś Książąt ruskich, którzy od tego miasta nazwisko Ostrogskich przybrali. Książęta Ostrogscy, mianowicie zaś Konstanty, Książę Ostrogski, Wojewoda kijowski, którego dochód roczni 10,000,000 złtp. dzisiejszych wynosił, przyozdobili miasto to wspaniałym zamkiem i wielu pięknemi gmachami. Janusz, Książę Ostrogski, syn Konstantego, utworzył w r. 1609. z dóbr ostrogskich ordynacyą, która po wygaśnieniu linii męzkiéj Książąt Ostrogskich, przeszła do Książąt Zasławskich, a od tych do Lubomirskich i Książąt Sanguszków. Konstytucya roku 1766. uznała dobra ostrogskie za ziemskie i tym sposobem zniosła ordynacyą. Ordynatowie Ostrogscy przebywali zwykle w zamku, którego widok ruin do numeru niniejszego i przyszłego Przyjaciela ludu załączamy.

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Stargawszy siły moje i zdrowie w wojnie rossyjskiéj, zabawiam się na stare lata czytaniem a nawet i pisaniem. Oprócz różnych notatek, które zwykle w kalendarzu i w książkach do nabożeństwa wpisywać lubię, ułożyłem dwa załączone tu artykuły, które jeżeli zasługują na umieszczenie w Przyjacielu ludu, to je umieść: sin minus (co jako płód starego nie zbyt piśmiennego żołnierza zadziwiać nie powinno) zrób z niemi co ci się podoba, bylebyś ich (bo to sobie najsolenniéj waruję) do jakiego profanum usum nie użyła!... Zdziwisz się może kochana Redakcyo, że taki jak ja staruszek o współczesnych autorach (których imiona sama zapewne odgadniesz) z takiém pobłażaniem mówi, ależ bo już aż nadto ta dzisiejsza generacya na nas starych wyrzeka, że każdy z nas:

Difficilis, querulus, laudator temporis acti
Se puero, censor castigatorque minorum.

Dowodzę więc temi artykułami, że i w tém są wyjątki. Całuję cię serdecznie, daty ani miejsca nie umieszczam, bo te są podług mnie superflua, obaczysz z załączonego pozwolenia cenzury, *primo:* że pisałem w miejscu, gdzie cenzura jest „in pleno vigore;“ *secundo*: jak szanuje ustawy krajowe, wszak i Wirgiliusz wyraźnie tych w piekle umieszcza, co: „ausi immane nefas, auroque potiti;“ *tertio:* że to pewnie muszą być dobre artykuły.

Humillimus servus
Aleksander Józef Lisowski.
Mpria.

O wydawaniu pism peryodycznych.

(Artykuł poświęcony przyjaciołom krajowego piśmiennictwa.)

Gdybym kiedy wydawał Dziennik, Tygodnik lub Miesięcznik, postarałbym się przedewszystkiém o porządne *obwieszczenie*, któreby nie zbyt mało, ale i niezbyt wiele obiecując, mówiło mniéj więcéj, że pismo to będzie *zbiorem wszystkich potrzebnych, przyjemnych i użytecznych wiadomości.* Bo jeżeli się takie czasem w niém i znajdą, dotrzymam danego słowa, w przeciwnym razie będzie to już dla wielu niedoświadczonych *potrzebną i użyteczną wiadomością*, że łatwowiernie na pisma podobne zapisywać się nie trzeba. Wypada też w obwieszczeniu wspomnieć o wszystkich krajowych i zagranicznych współpracownikach, a między tymi żadnego większego nieopuścić imienia, a jeżeli samo imię na niektóre *słabsze nerwy* lub *obraźliwsze umysły* złe wrażenie zrobićby mogło, początkowemi je tylko literami oznaczyć, jakoto: *A. — M.*, *S. — W.* i t. p. Niezaszkodzi umieścić list lub przynajmniéj bilecik od którego ze słynniejszych literatów, którym z największą uprzejmością chęci swe gorliwe oświadcza, wynurzając *swe powinszowania i długo ukrywaną tęsknotę za podobném pismem peryodyczném, które dopiero potrzebie krajowéj zadosyć uczyni* i t. d. Jeżeli zręcznie się to uda, można daléj rzecz posunąć: udzielić list pisany z Bostonu, Rio-Janeiro o Otaheiti na pokładzie okrętu, którym jakiś wygnaniec lub podróżujący przyjaciel donosi, z jaką roskoszą dowiedział się od wydawcy o nowém piśmie w Galicyi i jak chętnie będzie mu udzielał wrażeń swojéj podróży.

Są tacy, co nad *tytułem* pisma długo zastanawiać się zwykli, lecz to zdaje mi się rzeczą mniejszéj wagi. Niewystawiaż szewc bóta, a balwierz talerzyka świecącego przed swą *pracownią?* Można nowo narodzone lub narodzić się mające dziecko jakbądź nazwać, a najprościejsze imię najlepsze np. od miejsca, w którém wychodzi na świat: *Sandomierzanin*, *Lwowianin* i t. p., to oszczędza owszem datę i zaleca się krótkością. Te poprzednie tru-

dności ułatwiwszy, radziłbym postarać się o ile możności jak najwięcéj *prenumeratorów*, owszem można o nich nawet przed ułożeniem obwieszczenia i przed uradzeniem tytułu pomyśleć. Ale że u nas lud twardy do nauk, a cóż dopiero do dania pieniędzy, miłą zdaje mi się wyświadczę nie jednemu przysługę, podając łatwy sposób zebrania sporéj liczby przedpłacicielów. Jeden bowiem z moich znajomych z wielkim go skutkiem doświadczał. Trzeba być dobrze i nawet na stopie poufałéj ze wszystkiemi kelnerami i stróżami oberz i domów zajezdnych w mieście, gdzie pismo ma wychodzić, lub już wychodzi. Skoro ktoś ze wsi na kontrakty, jarmark na wełnę, gonitwy konne, karnawał lub na sejm przybędzie, uwiadamia o tém niezwłocznie miejscowy ów przyjaciel wydawcę, a ten leci co tchu na pole bitwy, i wsunąwszy się nieznacznie do przedpokoju, a daléj i do samego pokoju, może nieśmiałym głosem tak zacząć:

„Bardzo przepraszam — — niewiem, czym „się nie omylił, ale — — przyjechał tu wczo„raj Pan N., wielki protektor nauk i uczonych, „wielki miłośnik i znawca krajowego piśmien„nictwa — — ja jestem proszony od wydawcy „tego znakomitego dziennika pod tytułem X... „aby pismo to pod jego szczególną oddać opie„kę i złożyć obwieszczenie (lub parę nume„rów)....“

— „A, to ja sam jestem,“ odpowie zdziwiony Jegomość. (Nota Bene: jeżeli go wprzód za drzwi nie wypchnie, co także się czasami zdarza; lecz czegoż człowiek dla wielkiego celu nie zniesie? Znany jest n. p. X. Bodouin w Warszawie przypadek....)

— „O jakże ja szczęśliwie od razu trafiłem — „ale jeżeli mam prawdę otwarcie powiedzieć, le„dwom spojrzał na Jaśnie Wielmożnego Pana Do„brodzieja, zaraz z kształtu głowy i z rysów twa„rzy odgadłem, że to Pan sam być musisz — „znam się troche na Gallu i Lawaterze....“

— Do djabła! pomyśli sobie przybyły Jegomość, to jakaś grubo uczona bestyja! o tu wstolicy okrutne mają rozumy!...

„Chociaż nie lubię (odezwie się znów wy„dawca) zdradzać zaufania i tajemnic mego „pryncypała, muszę J. W. Panu Dobrodz. mię„dzy czterma oczami powiedzieć, że w jednym „z pierwszych numerów tego wielce poszuki„wanego pisma będzie historyczno-heraldyczna „wiadomość o domie pańskim. Jacyto niedbali „i ograniczeni ci heraldycy! (tu westchnie głę„boko) żaden z nich nie wspomniał o pańskiéj „familii, a Duńczewski o herbie tylko coś na„wiasem powiedział, a ona przecie wraz z Le„chem do Polski przybyła! Otóż więc wydawca „tego szacownego pisma z matematyczną pe„wnością wywodzi dom pański od Jaromira „z Borotina, który kwitnął w XII wieku „w krótce po przybyciu Lecha do Krakowa, a „był już Kawalerem Złotego runa i Ostrogi ro„dzoniuteńkim bratem owego słynnego w na„szych dziejach Biskupa Bodzanty. Syn jego, „czy wnuk Gustaw, tak był kochanym od szwedz„kiego Króla Gustawa Adolfa, że mu własne „imię Adolf do jego imienia przydał.“

— „Dobrze, dobrze, dobrze, (zawoła uradowany Jegomość) ileż to kosztuje rocznie prenumerata?“

„Tylko 20 reńskich konwencyonalną mone„tą. — Nam bowiem nie tyle o podły zarobek, „jak o rozszerzenie oświaty i pożytecznych wia„domości chodzi.“

— Niespuściłbyś Pan Dobrodziéj na 15 fr. m. k. rocznie? teraz wódka po 12 xr. garniec — — a akcyza.“ —

„Wszak miałem zaszczyt Panu Dobr. po„wiedzieć, że my to pismo pod szczególną pro„tekcyą Pana Dobrodzieja oddajemy; imię jego „w spisie prenumeratorów więcéj znaczy jak 5 „fr. rocznie.“

„No, więc ja na trzy lata z góry się prenumeruję... oto jest 45 fr. m. k.“

Tak się zbierają przedpłaciciele. — *Così va il mondo.*

Ale zapomniałem mówić o jednéj ważnéj rzeczy, która szczególnie w ostatnich czasach wielką jest każdego pisma zaletą. Trzeba koniecznie zaraz pod tytułem umieścić jakieś *godło*, dziś bez godła nic. — Bardzo trzeba jednak w wyborze jego być ostrożnym. — Nigdy na przykład tego pojąć nie mogłem, jak jedno francuzkie czasowe pismo samo się *Le Voleur* nazwać nie wahało i zaraz na czele wyraźnie wyznaje, że jest głupiém i kradnie gdzie może:

Au peu d'esprit que le bon homme avait,
L'esprit d'autrui par complément servait,
Il compilait, compilait, compilait. —

Jakże znów tak zapomnieć wszelką politykę i wyznać, że się własnego niema rozumu, i że się na cudzych koniach jeździ. Temu łotrowi Francuzowi jakoś nikt nie wierzy, ale w przeklętéj Galicyi gotów kto i uwierzyć.. i.. piękny interes! Dla tego najroztropniéj wybrać takie godło, któreby sobie każdy, jak mu się podoba, mógł tłumaczyć n. p.:

Der Gott der Liebe,
Schafft solche Triebe —
Und kennt mich und weiß es
Wie kläglich mir's geht...

Wiliam Shakspeare: „Viel Lärm um Nichts,“ przekładu Aleksandra Fischera. Akt V. scena 2.

Albo jeszcze stósowniejsze i bezpieczniejsze:

„A kysz,! a kysz.“
A. Mickiewicza, *Dziady*. Część II.

To wszystko mając na podorędziu, nie zawadzi téż pomyśleć na koniec i o artykułach do tego dziennika. — Jako takie mogą posłużyć opisania miejsc ciekawszych, a historycznem ja-

kiémś zdarzeniem wsławionych. Bardzo może tu być pomocną *Jeografia Kuropatnickiego* lub *Opis starożytnéj Polski Święckiego.* — Że jednak mało z tych miejsc tak są przez się pięknemi, żeby je troche ubrać i okrasić nie potrzeba, zostawia się wolne pole wyobraźni wydawcy. — Następują powieści, w których coś nowego i niezwyczajnego główną jest ozdobą i dla czytających ponętą. Co do mnie, wyznam, że lubię takie, gdzie mowa o rozbójnikach lub o karpackich opryszkach, o Tatarach, o wykradzeniu zamkniętéj w wysokiéj baszcie od srogiego starosty lub kasztelana wychowanki, za pomocą liny przynajmniéj 100 sążni długiéj i *en proportion* grubéj, lub drabinki, którą wybawca (*) w kieszeni z sobą przynosi, a potém (zręcznie kamyk na drugim końcu uwiązawszy) aż do okna zarzuca.....

Że się już Panu N. i innym przedpłacicielom wiadomości o ich familiach obiecały, trzeba koniecznie mniéj więcéj w każdym numerze po jednéj umieścić z wizerunkiem sławniejszéj tego domu osoby. — To bieda, że nie zawsze znajdują się takie wizerunki! Można sobie jednak poradzić, przerytowując inne, n. p. wizerunek *Rejtana Mahometa, Chmielnickiego, Marszałka Montmorency, Kilińskiego* (a ile możności takie wybierać, co z największemi wąsami i brzuchami) i pod temi podpisać: „*Jan z Wykrętogrodu W... Stolnik ziemi nurskiéj, sławny prawnik z czasów Króla Aleksandra,*“ albo „*Michał z Niedźwiedziowa L.... Ciwuń Białowiezski, zwycięzca Szwedów.*“ — Rodowód przynajmniéj od roku 1300 ułożyć, czasem też jednego lub drugiego (dla samego prawdopodobieństwa) jako nieznajomego opuścić (i tylko żal swój z tego powodu wyrazić), a przy innych odwołać się do *spalonych w roku 1768. aktów miasta Baru*, lub do *zabranych w roku 1705. przez Szwedów aktów miasta Sokala, z których ważne i ciekawe wypisy szczególnym trafem dostały się spadkiem wydawcy.* Akta też w bernardyńskim klasztorze we Lwowie złożone (za co się wieczna wdzięczność Józefowi II. należy) nad wyraz posłużą do tego celu, bo choćby się tam coś i niekoniecznie tak znajdowało, któż będzie się chciał osobiście o tém przekonywać? Gorliwsi i głębsi szperacze odwołują się także do *aktów biblioteki watykańskiéj....* Ważnemi są w takiém piśmie sekretne przepisy, jak wygubiać pchły, szczury, stonogi, świerszcze i pluskwy, co tyle dokuczać zwykły! Miłemi będą dla gospodarzy rady, wiele można n. p. ładować gnoju na jednę furę, żeby koni zbytnie nie obciążyć....

Niemniéj ważnemi i poszukiwanemi są owe wyjaśnienia dawnych, na pół rozpadłych pomników, które tym sposobem od zagłady i niepamięci wyrwane zostają. Aby i tu przykładem myśl moję wyłuszczyć: *Pomnik Żółkiewskiego na cecorskich polach od przyjaciela podróżującego z osobliwszéj grzeczności dla wydawcy odrysowany i umyślnie dla jego pisma przysłany*, wielkie zajmie w niém miejsce. Rok już zatarty, ale widocznemi są dotąd rzymskie cyfry: MDL..., nieomylnie czas téj pamiętnéj klęski oznaczające, i te słowa: *Hic absciderunt caput Stan... Żol... Campiducis...* (reszta nie do wyczytania.)

Co się tyczy stylu, należy być kwiecistym, n. p. opisując kościół tyniecki ładnie jest powiedzieć: „*Te wieże stoją jak dwie dziewice nad przepaścią, wyglądające jednego kochanka.*“ Jakże to czuła myśl! jak podobne do dziewic te wieże! jak ciekawe rozwiązanie, którą sobie z nich kochanek wybierze, jeżeli przybędzie! Otóż tu zachowane wielkiego *Montesquieu* prawidło: „*Il ne s'agit pas tant de faire lire, que de faire penser!*“

A jeżeli jaki złośliwy *Zoil* (a któż niema Zoilów?) zarzuci, że tu i owdzie *prawda* (ta główna podobnych pism nieprzyjaciółka) *nie jest jedyną cechą opowiadania*, łatwo mu odpowiedzieć: „Że to jawnie przez zazdrość zarzuca, że niesprzyja rozszerzaniu oświaty, która więcéj na *ilości*, jak na *jakości* zależy; że prawda ma wiele znaczeń; że w najszczerszém obejmuje wszystko, co tylko na myśl przyjdzie, ponieważ jeżeli na myśl istotnie przyszło, już jest prawdziwą myślą, a wyłożenie jéj na papierze *wiernym wykładem prawdy.*

Z resztą żyć trzeba: „Man muß leben, und leben lassen,“ a lepiéj wydawać dziennik jak rozbijać po wielkich drogach, oszukiwać w mierze i wadze, brać pieniądze za jakieś doniesienia, robić banknoty. Nakoniec, któż winien tym, co sami chcą dać pieniądze na takie pisma? Chciałeś Jasiu i masz. Przymusu do prenumeraty niema.

Te ważne uwagi rzuciłem w krótkiéj zwięzłości na papier, w przekonaniu, że mogą być dla wielu istotnie pożytecznemi, bo wielki u nas brak pism peryodycznych, jedynie literaturze poświęconych, a niedawno jeszcze gdzieś czytałem: „Że lepiéj mieć nawet złe pisma, jak żadnych.“

Aleksander Józef Lisowski.

(*) Ostrzegam drukarza, żeby się tu nie omylił i nie wydrukował *wydawca.*

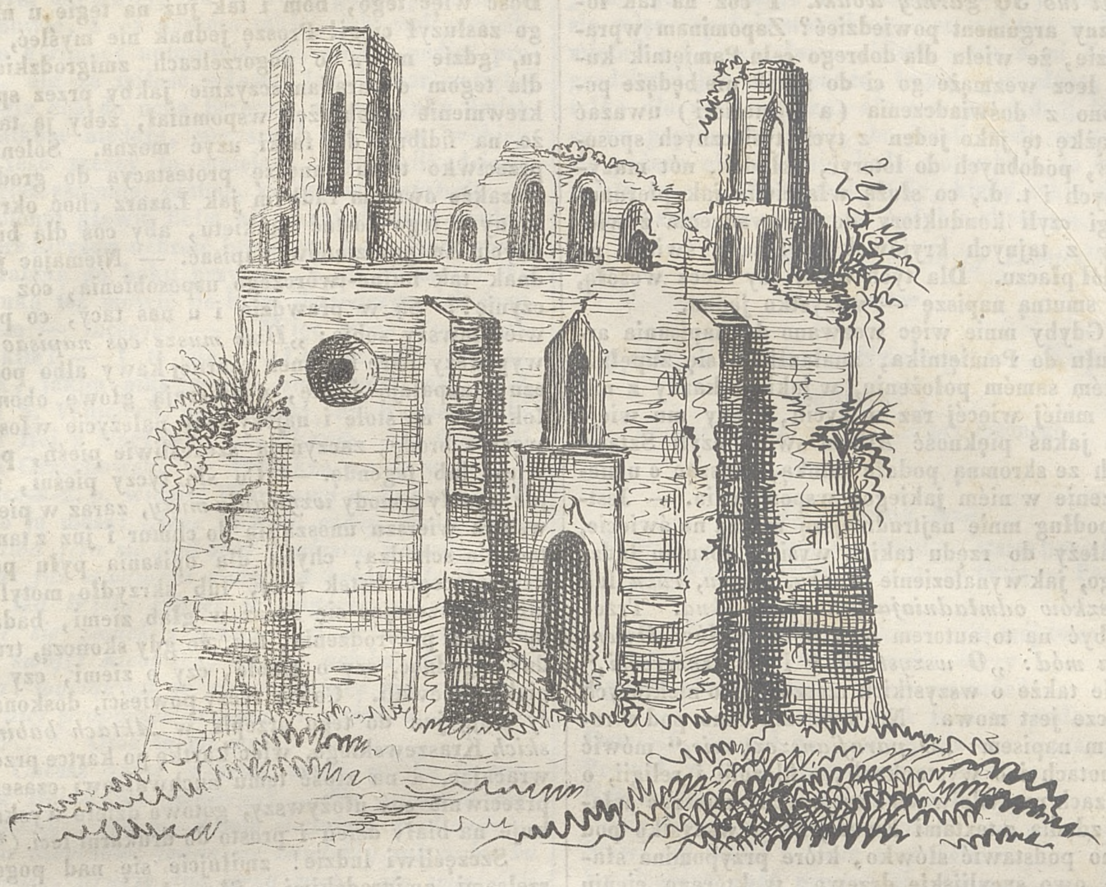
Rozmyślania Spleenisty nad 68. Numerem Gazety lwowskiéj.

Usadowiwszy się wygodnie w jednéj z naszych cukierni, a przeglądając dzienniki i gazety, wpadłem na obwieszczenie: „*Pamiętnika literackiego na korzyść pogorzelców miasta Żmigroda.*“ — Że właśnie dnia tego spleen mój z większą jak zwykle nawiedził mnie u-



Zamek ostrogski od wschodu.

przejmością, zacząłem dumać nad tém, ile też czasu między tém obwieszczeniem a wydaniem Pamiętnika upłynie? czy tyle na przykład, ile między obwieszczeniem *Album na korzyść pogorzelców Rzeszowa*, a oczekiwaném dotąd onego wyjściem? Już się ci poczciwi pogorzelcy całkiem prawie odbudowali, już zapomnieli o swojém nieszczęściu, a dobroczynne Album ciągle w mgle przyszłości zostaje! Ta przewlekłość w wydawaniu prac umysłowych ma być, jeżeli mam wierzyć zdaniu kilku znakomitych znawców, główną chorobą w Galicyi. Wielu pisało tam coś całe życie, pokazywało lub pokazuje tajemniczo na ogromne kwartanty lub folianty zapisane, — przyjdzie śmierć, co ludzi we wszystkich formatach zabiera, a publiczność nic a nic nie odziedzicza po tym niespracowanym nieboszczyku...!! Wracając do Rzeszowa, cóżby to było, gdyby przypadkiem przejeżdżający podróżny nocując tam, palił nie dość uważnie niektóre płody nowszéj i dawniejszéj galicyjskiéj literatury, a zdradliwa iskra wpadłszy między słomę, nowy pożar w tém mieście wzniecieła? Mógłby łatwo powstać zaraz po tym prawdziwie literackim pożarze okropny między dawniejszymi a nowszymi pogorzelcami, proces, do których korzyść z Album ma należyć? Możeby znów co ogień nie spalił, proces pochłonął, jakto już nieraz u nas widziano, a tak Album zamiast korzyści, największą by Rzeszowu klęskę przyniosło?... Spodziewam się, że przynajmniéj dla czytelników klęską nie będzie. — Tak dumając, wpadło mi nagle na myśl, cobym téż uczynił, gdyby mnie wezwano do przyczynienia się do Pamiętnika na korzyść poczciwych starożytnych Zmigrodzianów? Struchlałem na tę myśl cały. — Jeżelibym bowiem zaczął od opisu samego pożaru (co zaiste bardzo nowym a niezwyczajnym byłoby przedmiotem) trafiłbym na kilka trudności. Mniejsza o pierwszą, że sam pożaru świadkiem nie byłem, bo dziś i tak siła rzeczy z wyobraźni opisują, bliżéj ich nieznając i czytelnicy dobrze już z tém oswojeni, więcbym się tego nieobawiał, i za pomocą kilku książek śliczne mógłbym zrobić okropnéj téj sceny opisanie. — Ależbo druga tru-



Zamek ostrogski od zachodu.

dność! Wszakże już pożar ten w Lwowskiéj gazecie był wystawionym, a jak pięknie! cała prawie pieśń Szyllera *„o dzwonie"* znalazła się między palącemi żydowskiemi domami a gorejącą bóżnicą. Jaka to cudowna myśl wprowadzić Szyllera do Zmigrodu i pokazać mu w praktyce, co on w teoryi tak malowniczo oddał. A jak przytém uderzające dla czytelnika spotkanie, który się tam niczego mniéj nie spodziewał! Chociaż się chwalić nie lubię, niemogę jednak czytelnikowi nie powierzyć między czterma oczami, że myślę smutny wypadek mego lokaja, który się pod lodem utopił, tak ułożyć, że cały *Nurek* Szyllera co trzecie słowo przeplatać będzie me opowiadania. Drugą śliczną powieść, któréj przedmiotem będą pierwsze moje odwiedziny w Wieliczce, przepaszę w koło Balladą Saphira o tym znalezionym w szwedzkich kopalniach od stu-letniéj kobiety zasypanym młodych jéj lat narzeczonym. Jaki to ładny kurs literatury w przykładach dałby się ułożyć, opisując codziennego życia wypadki! — Każdy więc widzi, że po takiém opisaniu pożaru Zmigroda nikt o drugim myśleć nie może.

Trudno téż napisać jakieś techniczne postrzeżenia o niezbędnych w czasie podobnych nieszczęść ostrożnościach, bo już je tak daleko posunięto, że pewien Burmistrz nakazał, *aby wszystkie potrzebne do gaszenia ognia narzędzia zawsze w wigilią pożaru opatrywano.*

Cóż więc napisać? Broń Boże coś wesołego, bo by mnie o brak współczucia a może i taktu posądzono. — Więc smutnym być trzeba. Ale znów z drugiéj strony tyle mamy co dzień powodów do smutku, że smętna powieść dopiekłaby do reszty czytelnikom, a nie jeden zniecierpliwiony cisnąłby może Pamiętnikiem o stół, dając go do stu d.... albo do tysiąca k...., a tak przezemnie spotkałaby zniewaga całe grono współpracowników, za co moje uszy odpowiedziećby na końcu mogły. Z resztą u nas, gdzie tak mało czytają (co z wielkiém tylko przeproszeniem uszów czytelnika mówię) nie jeden myśli sobie: *Dałem 2 reńskie srebrem, a niemogę się nawet rozweselić. — Nie lepiéjże pójść za te pieniądze na teatr, a nie będę przynajmniéj żałować téj tak okrągłéj sumki, na którą musiałem przedać 2 korce żyta, 12 korcy kar-*

tofli lub 30 garncy wódki. I cóż na tak logiczny argument powiedzieć? Zapominam wprawdzie, że wielu dla dobrego celu Pamiętnik kupi, lecz wezmąże go ci do ręki? nie będąże podobno z doświadczenia (a posteriori) uważać książkę tę jako jeden z tych tysiącznych sposobów, podobnych do loteryi, składek, nót muzycznych i t. d., co służą właściwie jak piorunociągi czyli konduktory do sprowadzenia żywiołów z tajnych kryjówek wyższego świata na padół płaczu. Dla tych więc, czy rzecz wesołą, czy smutną napiszę — wszystko jedno.

Gdyby mnie więc wezwano do napisania artykułu do Pamiętnika, znalazłbym się zupełnie w tém samém położeniu, w jakiém każdy z nas był mniéj więcéj raz w życiu, kiedy mu wiejska jakaś piękność Album swoje czyli Sztambuch ze skromną podała minką, prosząc o umieszczenie w niém jakiegoś wspomnienia. — Jestto podług mnie najtrudniejszą rzeczą na świecie, i należy do rzędu takich wysileń rozumu ludzkiego, jak wynalezienie *prochu, druku, rużu* lub *proszków odmładniających płeć piękną.* Trzeba być na to autorem owych artykułów *Dziennika mód: „O wszystkiém“* i *„o szczerości,“* gdzie także o wszystkich rzeczach i o niektórych jeszcze jest mowa. Nie każdemu dano pod skromnym napisem: *„O parafianszczyznie,“* mówić o cnotach i o występkach, o filozofii i religii, o rzeczach prawdziwych i urojonych, mieszać własne zdania z textami Ewangelii, a wszystko pod jedno podstawić słówko, które przypomina sławne owo sycylijskie drzewo, w którego cieniu pare tysięcy ludzi schronienie znaleść może i pasterz kóz i pobożny pielgrzym i angielski tourista i jakiś koleżka Fra Diavola i francuzka elegantka i gruby kupiec siarką handlujący, i całe grono neapolitańskich adwokatów, których, jak wiadomo, więcéj jest jeszcze jak u nas. —

Powtarzam, że tego nie potrafię, a najbardziéj z téj przyczyny, że się sam w pokorze ducha do niektórych z przywar i śmieszności, tam parafianszczyzną nazwanych, poczuwam, a więc najgorzéjbym wyszedł, bo jak djabeł mimo największéj ostrożności czasem (jak mi ludzie najgodniejsi wiary zapewniali) rożki swe gdzieś z pod kaszkieta pokaże: tak ja mógłbym wydać się z czémciś, coby na mnie srogie hałasy podnieść mogło, a przynajmniéj przez tych parę lat, przez które jeszcze parafianszczyznę czytać będą. — Ale jeżeli to dzieło późniéj nie dosięgnie potomności, któż temu winien, czy autor, co zaczął ją pisać? Bynajmniéj, ale ten co jak widać z przedmowy naśladował go i tyle niedorzeczności do pierwotnego dodał pomysłu. O ci naśladowcy to lud najgorszy! *Imitatores servum pecus!* — Lecz gdzie ja się zapuszczam niebaczny! Czyż nie zapowiedział tenże sam dowcipny kontynuator drugiego tomu, w którym ma być osobny rozdział temu jedynie poświęcony: *„Co o parafianszczyznie mówią.“* Dość więc tego, bom i tak już na tęgie u niego zasłużył cięgi! Proszę jednak nie myśleć, że tu, gdzie mowa o pogorzelcach zmigrodzkich, dla tegom o parafianszczyznie jakby przez spokrewnienie wyobrażeń wspomniał, żeby ją także na fidibus do fajki użyć można. Solenną przeciwko temu zanoszę protestacyą do grodu, wszakże owszem radbym jak Łazarz choć okruszyny z tego dostać bankietu, aby coś dla biednych Zmigrodzianów napisać. — Niemając jednak tak bujno-twórczego usposobienia, cóż uczynię?? Są w prawdzie i u nas tacy, co powiedziawszy sobie: *„Dziś muszę coś napisać;“* wypiwszy parę filiżanek czarnéj kawy albo ponczu, zapalają fajkę, podpierają głowę oboma łokciami na stole i najeżywszy należycie włosy, wąsy i brodę, zaczynają szczęśliwie pieśń, powieść lub legendę. — Co się tyczy pieśni, że już wyszły z mody *wzywania muzy*, zaraz w pierwszym wierszu unoszą się do chmur i już z tamtąd nie schodzą, chyba dla opisania pyłu pokrywającego listek róży, lub skrzydło motyla, albo spuszczając się zaraz w głąb ziemi, badają tajniki przyrodzenia, tak, że gdy skończą, trudno odgadnąć, czy o niebie, czy o ziemi, czy o piekle śpiewali. Co się tyczy powieści, doskonały mają już do tego przepis w *Aktach babinskich* Kraszewskiego, więc kartkę po kartce przewracając, a na złość temu zuchwalcowi czasem przeciwnie coś ułożywszy, gotowe dzieło wyskakuje na biały dzień i prosto do drukarni leci. (*)

Szczęśliwi ludzie! zmiłujcie się nad pogorzelcami zmigrodzkimi. Słyszałem na własne uszy od jednego z takich popsutych dzieci geniuszu, że: *„żadnego autora nie czyta, aby oryginalności nie stracił.“* Myśl prawdziwie głęboka, szkoda, że tak oryginalny autor jest dziś za daleko, aby mógł coś dla Zmigrodzianów napisać! Ale wy jego godni towarzysze i współzawodnicy, rzućcież choć świstek dla nich, wszakże do pisania nic czytać nie potrzebujecie. Znana jest gadka Pana kochanka, że gdy mu raz pies gończy oślepł, on mu małego pieska, co dobre miał oczy, na karku przywiązać kazał, aby za niego patrzył, a tamten nóg swych jak pierwéj mógł używać. Otoż oni tak robią, głupcom zostawiają czytanie, a sami pisaniem się trudnią. Bo też i widać jak ciekawe odkrywają rzeczy! jak znają historyą, starożytność i literaturę! Biedni to do prawdy ludzie ten jakiś August Bielowski, ten Kazimierz Stadnicki, co do napisania jednéj cwiartki tomy czasem przeglądnąć i porównywać muszą, a tyle się naczytali, że takim jak my aż głowa trzeszczy na samę myśl o téj pracy. Przecież mniéj ich w porównaniu czytają jak tych, co z własnego natchnienia z rodzinnego geniuszu wysnuwają nito pająki swe dzieła....

Oczywistą jest rzeczą, (myślałem daléj) że

(*) Do cenzury.

jabym ani takiéj, jak ci dwaj godni politowania Panowie, a cóż dopiero takiéj, jak owi szczęśliwie kwitnący autorowie, nie zdołał podjąć pracy, ale że miłość własna jak komar natrętny ciągle coś do ucha brzęczy, a spoczynku śmiertelnikom niedaje, przyszedł mi nowy wybieg: „Treść rzeczy to mniejsza, byle kilkadziesiąt kartek szumnie, czubno, pętliczasto wystroić, na ogolonéj głowie hełm albo konfederatkę osadzić, pierś kirysem uzbroić lub sutym kontuszem ubrać, karabelę do boku przypiąć, i już go masz! Nie sztuka też mówić do ludzi dzisiejszym ich językiem — facecya! — „Więc może Zygmuntowskim? — I to nie. — Utworz sobie taki język, jakim nikt jeszcze nie mówił, ani pisał, ani Ś. Wojciech, ani Bielski, ani Kochanowski, ani Rej z Nagłowic, ani Skarga, ani Górnicki, ani Orzechowski. — Wszakże mamy wzory. — Chcesz n. p. widzieć Warszawę za Zygmunta III. Oto ją masz: „*One to były czasy, kiedy Warszawa jęła się pod boki i miasto, potwór, wyjrzał już siwawemi mury za krakowską bramę. — Od Wisły gdzieś w pagórek piasku wkopał się zamek i szklannemi oczami zaglądą ku swojéj niebodze, co mu ucieka do Gdańska; wyciągnął w niebo wieżycę jak rękawicę, w niéj proporzec trzyma; i wziął w rękę zegar...*“ Otóż to mi styl!

Chcesz znów widzieć osadę polską za czasów Bolesława Śmiałego? „*Na piaskach niespytanych jeszcze o imię siedziało ze dwadzieścia dworców; jedne się zawlekły jak żaby ku wodzie, drugie tuż przy nich, ale wyniośléj jako trzcina wodna, a trzecie poodskakiwały bokami ku lasowi i jak grzyby nizko przycupnęły do ziemi.*“ Lecz mniejsza sztuka tak wielkie opisywać przedmioty, w drobnych to kunszt siedzi. — Czy wiesz jak wyglądał i co robił kołek w komorze Pani Światochny, żony Supana Jana Owady: „*Odrzwie do sieni kołkiem krzywym zaspilone, a ów kołek siedzi w dziurze drzwi na wskróś, jednym końcem patrzy w sień, skrzywionem ramieniem trzyma odrzwie komnaty, weźmiesz go za koniec od sieni, to ramię krzywe podskoczy w górę klepki, na któréj spało — dygotnie, przepuści się do komnaty i uśnie na klepce, w któréj już sobie siodło wyrobił.*“ — Jeżeli kto znajdzie, że to nie jest estetyczne, to niema wyobrażenia *Estetyki z czasów Bolesława Śmiałego;* wszak to prawdziwy współczesny kołek! I tak można daléj i daléj według pozwolenia Göthego, który pieśń swą o kukułce kończąc wyraźnie powiada: „Kuku! kuku! mit Liebenswürdigkeit *in infinitum,*“ — — a powieść rośnie i już dwadzieścia stronnic. — —

Zachęcony tak czarującemi obrazy, rzuciłem się jak wściekły do pióra z niezmyślonem przedsięwzięciem wszystko co mi tylko na myśl przyjdzie, mit Liebenswürdigkeit *in infinitum* opisywać — ... Kiedy mnie pomału z samego przeglądu tych wzorów taki sen zamroczył, żem ani jednéj joty skreślić nie zdołał, — wyrzekłem się więc zupełnie wszelkiego uczestnictwa w Pamiętniku i zawołałem: „Niech sobie sami Zmigrodzianie jak chcą radzą, kupię, przepłacę, co tylko dla nich napiszą, ale sam ani jednéj litery na papier nie rzucę, bo jeżeli woda w czasie pożaru nieodzownie była potrzebną, to wodniste rzeczy, dziś szczególnie, kiedy takie deszcze panują, oczywistym byłyby zbytkiem.

Aleksander Józef Lisowski.

Wyjątki z dramatu Szekspira: „Kupiec wenecki“,

na język polski przez .... przełożonego.

Akt II. Scena Isza.

Belmont. — Sala w pałacu Portii. — Marsz tryumfalny. — Książę Marokański wchodzi ze świtą. — Portia i jéj świta.

Marok.: Nie gardź mną Pani i cerą méj twarzy!
To suknia, którą w upominku darzy
Ogniste słońce, mnie, swego sąsiada!
A jeśli wypada
Dowieść, że ród moj żadnéj nie zna zmazy,
Pozwól, o Pani, niech na twe rozkazy,
Najdorodniejszy młodzieniec północy,
Gdzie skwarne słońce krzepnie w swéj niemocy,
Stawi się tutaj! i niech nam żelazem,
Krwienośne żyły przetną obu razem,
A z chlubą dla mnie, ujrzysz, mam nadzieję,
W czyjéj krwi więcéj purpury jaśnieje!
W jego, czy w mojéj! Widok mojéj twarzy
Już nie jednego przeraził z mocarzy!
Lecz poprzysięgam na miłości wdzięki:
Czułych piękności nie jeden włos miękki,
Spoczywał na niéj! Ja kocham tę maskę!
Chociażbym w Twoją miał popaść niełaskę!
Portia: Wierzaj mi Książę, są u nas dziewice,
Których nie złudzi malowane lice!
Wszakże nie moja, ale losu siła,
Według ostatniéj ojca mego woli,
O mém zamęściu będzie stanowiła;
I tego tylko poślubić dozwoli,
Kto szczęsnym trafem mój portret wybierze.
Za twą szlachetną otwartość w ofierze,
Wyznam Ci jednak, jesteś między tymi,
Których méj ręki uznałam godnymi.
Mar.: Za ten dla mego serca zaszczyt luby,
Wdzięczności równych słów, dobrać nie zdołam,
O jedno tylko błagam Cię i wołam:
Do téj nieszczęsnéj niech mię wiodą próby!
Za cóż przed losem klęka myśl człowiecza?
O gdyby można ostrzem tego miecza,
Co nieodstępny zwycięztw Solimana,
Wydobył duszę z tatarskiego Hana,
Którego iskry oślepiają wroga,
Z którym, nieznając co zastęp lub trwoga,

Zwiedziłem straszny sam środek ziemicy,
Wydarłem pomiot zjadłéj niedźwiedzicy,
Lwu ryczącemu zdobycz odebrałem!
Własną krwią o twe dobijać się wdzięki!
Aleć traf ślepy może być udziałem
Szczęśliwszéj — jakiéjś — może pod téj ręki!
Jak Alcyd mężny chybił wybrać broni,
Jak i ja losu przyciśnięty grotem,
Ulegnę — tak — ulegnę — a potém...
Umrę! o! tego los mi już nie wzbroni!
Port.: Azatem szczęścia chcesz doświadczać
Książę!
Wiedz jednak, jaki Cię warunek wiąże.
Kto z was uchybi w szczęśliwym wyborze,
Ten żadnéj dziewicy
Więcéj w swém życiu poślubić nie może.
Mar.: Przysięgam! teraz..
Port.: Wprzódy do kaplicy
Udamy się.
Mar.: Po raz pierwszy trwogę czuję,
Ta chwila piekło lub raj mi zgotuje!

Akt III. Scena 2ga.

Sala w pałacu Portii. — Bassanio. — Portia. — Merysa. — Dwór. — Skrzynki ustawione.

Por.: Odwlecz proszę Cię, odwlecz choć dzień
jeszcze,
Choćby i drugi, termin twojéj próby!
Wszakże gdy chybisz, tracę Cię, mój luby!
Powiem Ci, jakieś mam przeczucie wieszcze,
(Zironią.) O to nie miłość. Że ja żyć bez ciebie
Dłużéj nie mogę! (luboć w téj potrzebie,
Byłaby rada nienawiści inna!)
(Z tajemnicą.)
Jednak abyś mię zrozumiał dokładnie,
(Choć Panna myśleć nie rozprawiać winna,)
Sądzę, że parę miesięcy wypadnie
Bawić ci tutaj, — o jakbym ja rada,
Uczyć się wybrać! aleć nie wypada
Łamać przysięgi — gdybym ja wiedziała,
Że chybisz! kto wie? czybym nie obrała,
Jednéj przysięgi stargać więzy święte!
Powiedz mi luby! twe oczy przeklęte,
Zkąd téj mocy wzięły?
Że mię przejrzały! i na pół przecięły!
Jedna połowa Twoją; druga moją! —
Lecz moje — Twojem! Jam więc cała Twoją.
Niestety! przykry to już czas nastaje,
W którym właściciel, praw swych nie poznaje!
Twoją — a w krótce może cudzą! do piekła
Niech idzie szczęście, bylem ja uciekła!
Ah, ja tak gadam i pa[illegible]tam tyle,
By tym sposobem, tę [illegible]ną chwilę,
Przewlec, przedłużyć, r[illegible]zyć, przeciągnąć,
I dzień wyboru jak najdłużéj ściągnąć,
Bass.: Nie! już się stało! szczęście! zaświeć
z góry,
Bo tutaj męki gorsze od tortury!
Port.: *(Zironią.)*
Tortury? Bassanio także mię pociesza!
Jakaż to zdrada w twą miłość się miesza?
Bass.: To tylko zdrada ducha nieufności,
Co w méj miłości stanowi zawadę!
Prędzéj pogodzisz największe sprzeczności,
Ogień i wodę! jak miłość — i zdradę!
Port.: Często i kłamstwo tortura wymęczy:
Któż mi za prawdę twoich słów zaręczy?
Bass.: Wyznam ci prawdę, a przyrzecz mi życie.
Portia: Żyj! wprzódy wyznaj,
Bass.: Wyznać i kochać!
Czyli mię słyszycie?
Oto jest pełność wszystkich wiadomości:
Tortury! waszą błogosławię mękę!
Sam kat ratunku podaje mi rękę!
Teraz pozwólcie zbadać méj przyszłości!
Port.: Więc się rozstąpcie! która z nich mię
mieści,
Jeśli mię kochasz, serce Ci obwieści!
Nerysso i Wy! zostańcie w oddali.
Gdy wybór zacznie, niech w ten moment w sali
Zabrzmi muzyka!
Jeżeli chybi! niech w czarowne dźwięki
Wpłynie konając, jako łabędź w jęki!
To porównanie daléj się pomyka; —
Muzyka, to łez moich smętne morze,
W którém mój luby znajdzie śmierci łoże.
Jeżeli trafi! czém w ten czas muzyka?
(Zpompą.) Koronacyjnym chórem, co poddanych
Nią owładanych!
Czcią ku nowemu Królowi przenika!
Chcecie? są to te harmonijne dźwięki,
Które w dzień ślubu, ze wschodem jutrzenki,
Roskosznie uszy oblubieńca łudzą,
I do wesela zapraszając, budzą!
Jak drugi Alcyd, co swojemi czyny
Wybawił Troję z obrzydłéj daniny,
Którą corocznie z dziewic słynnych wdziękiem,
Morskiéj potworze opłacała z jękiem!
Niemniéj zuchwale i z powagą jego, —
Ale daleko piękniejszy od niego!
Stąpa mój luby.
Jam jest ofiarą, którą Troja niesie!
Tam w dali stoją dardańskie dziewice,
Co, kryjąc dłońmi zapłakane lice,
Chcą być świadkami pewnéj mojéj zguby!
Naprzód Herkulesie!
Żyjesz? Ja żyję! Więcéj niepokoju
Nieznasz odemnie, choć idziesz do boju!

(Przez czas następnego chóru Bassanio stoi nad skrzynkami zamyślony.)

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)